

Ile jest Drotkiewicz w Drotkiewicz?

Pierwszy raz usłyszeliśmy o Agnieszce Drotkiewicz w 2004 roku za sprawą książki *Paris London Dachau*. Narratorka i bohaterka zarazem przez sto kilkadziesiąt stron nie mogła uporać się z tym, że porzucił ją chłopak; poziom emocjonalny tej powiastki przywodził na myśl opowiadania dla trzynastolatek. Ponieważ fabuła była równie mdła jak bohaterowie, autorka postanowiła nieco podrasować wartość dzieła postmodernistycznymi parafrazami i odwołaniami do przeróżnych dokonań zarówno kultury wysokiej (Quenau, Cortázar, Ugrešić), jak i popularnej (Tata Kazika czy Massive Attack). Całość może i stanowiła skuteczną autoterapię po rozstaniu, niekoniecznie jednak musiała trafić do księgarni.

W najnowszej powieści *Dla mnie to samo* pisarka przedstawia losy kilku bohaterów, którzy mniej lub bardziej szczęśliwie mierzą się z życiem. Jest tu Roman – traktujący kobiety przedmiotowo, egoistyczny lekarz medycyny, Nina – samotna i uboga recepcjonistka desperacko szukająca pocieszenia w ramionach mężczyzn, Danuta – despotyczna matka, Adela – zahukana przez nią córka, Renata – nieszczęśliwa prezenterka telewizji uciekająca przed swoimi frustracjami w pracoholizm i jeszcze parę innych postaci. Ich losy przeplatają się nawzajem, co daje pretekst do obserwacji i konfrontowania ze sobą ich problemów. Wszyscy desperacko próbują uciec od samotności i świadomości, że nie są w życiu szczęśliwi, łakną miłości i ponoszą klęskę. Wyraźnie można zauważyć, że w swojej drugiej powieści Drotkiewicz zrobiła krok naprzód. Tematyka jest dojrzsza, a fabuła bardziej przemyślana. Autorka próbuje sportretować bolączki współczesnego człowieka, odzwierciedlić jego poczucie osamotnienia i zagubienia. W wielu przypadkach okazuje się wrażliwą obserwatorką. Dlaczego więc ponosi klęskę?

Być może dlatego, że na pierwsze miejsce nie wysuwa się historia o rozterkach współczesnych ludzi, ale popis erudycyjny Agnieszki Drotkiewicz. Czytelnik brnie przez ten rozbudowany kolaż cytatów i odniesień mniej lub bardziej związanych z fabułą i – zamiast wczuć się w tragedię bohaterów (która ma predyspozycje do tego, aby poruszać) – jest coraz bardziej zmęczony niezrozumiałą grą. Niektóre nawiązania są mocno chybione. Wątek Adeli i Danuty (zajmujący sporą część fabuły) to niemal żywcem wyjęta z *Pianistki* historia Eriki i jej matki. Drotkiewicz w swoich artykułach i wywiadach niejednokrotnie dawała wyraz uwielbieniu, jakim darzy Elfriede Jelinek. Tymczasem nie ma się co łudzić, że zagorzała fanka austriackiej noblistki napisała wariację na temat twórczości swojego guru lub ukazała ją w jakimś odkrywczym świetle. To po prostu przepisana stylem młodej polskiej pisarki ta sama historia z drugoplanowymi modyfikacjami. Po jej przeczytaniu czytelnik ma natrętne uczucie *déjà vu*. A *Pianistka* to nie jest utwór, który wymaga ponownej lektury. Nawiązanie, nawet wierne, musi mieć sens. A Drotkiewicz dla swojej Mona Lizy nie postarała się nawet o wąsy. Autorka powinna przywiązywać mniej uwagi do umieszczania w swojej powieści sieci niezliczonych parafraz i zapożyczeń, a skupić się bardziej na samej fabule. Tak się złożyło, że równocześnie z *Dla mnie to samo* czytałam jedną z książek Iris Murdoch i nie mogłam wyjść z podziwu dla przenikliwości, z jaką irlandzka pisarka kreśli relacje międzyludzkie, mimo że nie zamieszcza na końcu powieści listy przeczytanych i cytowanych książek. Dobrego pisarza poznaje się po sprawnym piórze; a że solidna znajomość literatury jest tego warunkiem – to oczywistość. Agnieszka Drotkiewicz powinna wyciszyć te wszystkie mądre głosy, których się naczytała i nasłuchała, a bardziej skupić się na tym, by jej tekst miał głębię. Bo tego mu brakuje.

W cytowanej na okładce książki notce Jerzy Jarzębski pisze: „...bolesność międzyludzkich relacji autorka przedstawia z namacalną nieledwie ostrością i godnym uwagi stylistycznym kunsztem”. Właśnie ów brak

ostrości to jest podstawowy feler tej powieści. Te wszystkie poruszające historie tam są, ale wydają się być jedynie naszkicowane cienką kreską. Styl Drotkiewicz, choć nie można odmówić mu oryginalności, paradoksalnie, szkodzi odbiorowi utworu. Pospieszny, rwany rytm narracji utrudnia uchwycenie sytuacji. Choć pisarka ma talent do tworzenia ciekawych metafor, to jednak czasem przesadza: „trzeba ruszać wielkie międzynarodowe korporacje. Na przykład: miłość”¹. Czyż nie brzmi to trochę tandetnie? Dodajmy do tego jeszcze nadmierną fragmentaryczność tekstu oraz szastanie wątkami i okaże się, że powieść przypomina pospiesznie zmontowany teledysk. Poza tym, choć fabule nie można odmówić spójności, pomysłu, a nawet atrakcyjności, jest ona po prostu nazbyt płaska. Drotkiewicz może pisać o jednej z bohaterek, że jest fanatyczną pracoholiczką, a następnie ujawniać, że w głębi duszy cierpi z powodu nieszczęśliwej miłości (Renata Pokuta). Niestety, nie czyni to z niej autentycznej, wielowymiarowej sylwetki. Aby jakakolwiek postać żyła, musi mieć trzeci wymiar, którego na próżno szukać w *Dla mnie to samo*. Jak podszeptuje nam tytuł, bohaterowie powieści, mimo pozornych różnic, mają wiele cech wspólnych. Wszyscy działają na podstawie tych samych pobudek – niespełnionych marzeń, pragnień. Dla tych, którzy mieliby wątpliwości, że każda z postaci nakreślonych piórem Drotkiewicz jest everymanem, autorka na koniec załączyła psychotest: *Którą postacią z „Dla mnie to samo” jesteś?* Tani chwyt? A może kpina z konwencji? Jeśli tak, to bardzo małego kalibru. Problem tej powieści polega na tym, że jest za słaba, by podejrzewać ją o jakąś bardziej wyrafinowaną grę z czytelnikiem.

Pośród oceanu odwołań literackich, muzycznych, malarskich, serialowych, w których tonie ta książka, nie mogło zabraknąć aluzji politycznych. Kilkakrotnie pada w niej nazwisko Sławomira Sierakowskiego. W wywiadzie opublikowanym na łamach wrześniowej „Lampy” Drotkiewicz opowiada, jak to pytała czołowego myśliciela polskiej młodej lewicy o rolę

¹ A. Drotkiewicz, *Dla mnie to samo*, Warszawa 2006, s. 192.

literatury w świecie (poczynili przy tym, nie da się ukryć, uwagi nad wyraz odkrywczе):

„»Sławek, ale powiedz, czy jak książka jest smutna, to będzie słuszna?«. A on na mnie spojrzał tym swoim spojrzeniem »kiedy walczyły, to walczyły« i powiedział: »Tak. Ale może powinna budzić smutek i gniew?«”².

Dla Sierakowskiego literatura to (wnioskując z jego wypowiedzi i artykułów) oręż zmian. Otóż niewiele z jej pomocą osiągnie, jeśli jego wyznawcy będą w ten sposób realizować jego postulaty. Powieść Drotkiewicz to za mało, żeby obudzić w czytelniku smutek. Może wywołać gniew, spowodowany zniecierpliwieniem, zwłaszcza podczas lektury fragmentów przepisanych z Jelinek. Natomiast nie sądzę, aby była w stanie pobudzić kogokolwiek do jakiegoś zaangażowanego działania.

Jestem umiarkowaną zwolenniczką twórczości Drotkiewicz, a jej opinie bardzo często budzą we mnie chęć ostrej polemiki, jednak uważam, że w porównaniu z debiutancką powieścią poczyniła postęp, jest już autorką trochę dojrzałą, choć do pełnej dojrzałości z pewnością wiele jej brakuje. Dostrzegam w jej twórczości pewien potencjał, zmysł obserwatorski, który mógłby co nieco wnieść do polskiej literatury. Aby jednak to osiągnąć, Drotkiewicz musiałaby, bardziej niż na brylowanie erudycją, postawić na własny głos. Tylko ile miałaby wtedy do powiedzenia?

² „Lampa” 2006, nr 9 (30), s. 9.